Nr 9 Wrzesień 1950

ECHO

DOMU MACIERZYSTEGO

CÓREK MIŁOSIERDZIA

ŚW. WINCENTEGO á PAULO

NAKŁADEM SIÓSTR MIŁOSIERDZIA w POLSCE

TREŚĆ

Za zezwoleniem Władzy Duchownej.

D. Z. G. D w Sandomierzu. L-1-10520. Nr zam. 6. 23. I. 1951 r. Nakł. 350.

ECHO DOMU MACIERZYSTEGO

Wrzesień 1950 r.

SŁOWO OD PRZEŁOŻONYCH
(od Najprzew. Ojca)

27 września rocznica śmierci św. Wincentego

„Szczęśliwy kto ma baczenie na na ubogiego, w dzień zły wybawi go Pan". (Psalm 40. 1.).

Wielce użyteczną naukę stawia nam przed oczy doroczna uroczystość rocznicy śmierci św. Wincentego, a mianowicie szczęście duszy naszego św. Założyciela na widok tego, co dokonał w swym życiu dla Pana Jezusa w osobie ubogich i chorych. Naprawdę doskonale stosują się tu słowa Psalmisty: „Szczęśliwy, kto ma baczenie na ubogiego, w dzień zły wybawi go Pan".

Rozważanie to jest bezwątpienia bardzo korzystne dla was, moje Siostry i dla wszystkich Córek Miłosierdzia, bo w waszym świętym powołaniu, stosując się do słów i przykładów św. Wincentego i św. Ludwiki de Marillac, które są słowami i przykładami Pana Jezusa, oddajecie się Bogu, by Mu służyć w osobie ubogich i chorych.

Wiemy, że Pan Jezus uważa, jakoby Jemu samemu uczynione wszystko, co z miłości dla Niego ubogim i chorym czynimy. Jakże pięknym jest ten opis sądu ostatecznego uczyniony przez Pana Jezusa, a podany nam przez św. Mateusza w 25-ym rozdziale jego Ewangelii:

„Gdy przyjdzie Syn człowieczy w majestacie swoim, tedy usiądzie na stolicy majestatu swego. I zgromadzą się przed Nim wszystkie narody, i odłączy jednych od drugich, jak pasterz

odłącza owce od kozłów. I postawi owce po prawicy swojej, a kozły po lewicy. Tedy rzecze Król tym, co będą po prawicy jego: Pójdźcie błogosławieni Ojca mego, posiądźcie królestwo, zgotowane wam od założenia świata. Albowiem łaknąłem, a daliście mi jeść, pragnąłem, a napoiliście mnie: byłem gościem, a przyjęliście mnie: nagim, a przyodzialiście mnie, chorym, a nawiedziliście mnie, byłem w więzieniu, a przyszliście do mnie. Tedy mu odpowiedzą sprawiedliwi, mówiąc: Panie! kiedyżeśmy cię widzieli łaknącym, a nakarmiliśmy cię? pragnącym, a daliśmy ci pić? Kiedy też widzieliśmy cię gościem, i przyjęliśmy cię? albo nagim i przyodzialiśmy cię? Albo kiedy widzieliśmy cię niemocnym, albo w więzieniu i przyszliśmy do ciebie? A odpowiadając Król, rzecze im: Zaprawdę powiadam wam: Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uozynili."

Śmierć św. Wincentego, której rocznicę obchodzimy 27 września, przypomina nam tego ducha wiary św. Wincentego, w jakim wspierał ubogich, to jest, że im służył dlatego, bo widział w nich Pana Jezusa. Jemu służył w osobie ubogich i chorych.

Rozważając tę piękną śmierć naszego Błog. Ojca, starajmy się z niej skorzystać, odnawiając się w duchu nadprzyrodzonym, z jakim winnyśmy się oddawać dziełom naszego św. powołania. Modlimy się codziennie do św. Wincentego, ale dziś, przy tej rocznicy Jego cennej śmierci, błagać Go będziemy, by uprosił dla swej podwójnej rodziny wzrost w duchu nadnaturalnym w służbie bliźniego, łaskę, byśmy zawsze widzieli Pana Jezusa w ubogich i chorych, łaskę spoglądania na nich nie ze strony naturalnej, bo często mogłoby nas to zniechęcić, ale ze strony nadnaturalnej jak mówił św. Wincenty: „odwróćmy medal, a zobaczymy w świetle wiary, że ubodzy przedstawiają nam Syna Bożego, który chciał być ubogim".

„Wiemy, że w swych olbrzymich pracach dla ubogich i chorych, *św. Wincenty miał zawsze na celu zbawienie duszy i do niej dążył poprzez ciało.* Znamy jego zalecenia dawane

Córkom Miłosierdzia, zachęcał je, by nie zaniedbywały powiedzieć zawsze chorym jakie dobre słówko, jednym, by ich przygotować do dobrej śmierci, innym, by ich usposobić do korzystania z odzyskanego zdrowia by dobrze odtąd żyli. My również, starajmy się w naszych pracach przy ubogich i chorych, dopomagać ich duszom, ucząc je miłować Boga, zbawiać je i uświęcać.

Trzeba zauważyć, że *św. nasz Założyciel, mimo swych wielkich i wprost niezliczonych prac, wiernie odprawiał każdego dnia ćwiczenia duchowne Zgromadzenia*,—rozmyślanie, Mszę św. i dziękczynienie, odmawianie koronki, nawiedzenie Najśw. Sakramentu, rachunki sumienia i inne ćwiczenia pobożne. Odprawiał je starannie, by przez to postępować w świętości, a co za tym idzie, dobrze wypełniać dzieła odnoszące się do służby Ubogich i Chorych. Ta wierność modlitwie i ćwiczeniom duchownym,—to tajemnica jego świętości i powodzenia w dziełach. My również, moje najmilsze Siostry, jeżeli chcemy zabezpieczyć nasze uświęcenie osobiste — ten pierwszy cel naszego powołania—i dobrze służyć Ubogim, Chorym i każdemu w jego potrzebach, nie możemy czynić nic lepszego, jak naśladować św. Wincentego przez wierność modlitwie i ćwiczeniom duchownym, nawet wówczas, gdy nam się zdaje, że jesteśmy przeciążone pracą. W dzisiejszych czasach jest czasem bardzo trudno je odprawić, a równocześnie dobrze się wywiązać ze swych obowiązków przy Ubogich w szpitalach, w sierocińcach, w parafiach i w innych usługach dla bliźnich. Nie powinniśmy jednak tracić z oczu tego, co najistotniejsze, co nam daje ducha nadprzyrodzonego, chcę powiedzieć: ćwiczeń pobożnych. Bez nich życie nasze stanie się zupełnie świeckie, utraci ducha, jakiego pragnął w nas widzieć św. Wincenty. Nie zapominajmy tej zasady Pana Jezusa: „Szukajcie najpierw królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego, a reszta będzie wam dodaną w obfitości”. Otóż to królestwo Boże winno się ustalić najpierw w naszej duszy i w naszym życiu, abyśmy je mogli ustalić w duszach Ubogich i Chorych.

Między wami, moje najdroższe Siostry, są niektóre uprzywilejowane, rozumiem przez to, że służą bezpośrednio Ubogim i Chorym. Inne mogą powiedzieć: Jakże mogę brać udział w służeniu Panom moim, Ubogim? Tym radzę, by pamiętały następującą uwagę: jesteśmy cząstką jednego ciała mistycznego i każda może wspomagać swe Siostry w usłudze Ubogim pracując w swoim urzędzie. Przez modlitwy, ofiary, prace, możecie wspierać bezpośrednie sługi Ubogich w zdobywaniu dusz tych, których pielęgnują.

Oto jak możecie, moje najmilsze Siostry, upodabniać się do św. Wincentego, śmierć jego była pełna pokoju, pogody, radości, ufności; wiemy, że przed skonaniem kilkakrotnie powtórzył to słowo: „ufam". Zdaje mi się, jakbym go słyszał opowiadającego pierwszym Córkom Miłosierdzia o śmierci jednej z nich. Na pytanie, jakie zadał Siostrze Andrzei: „Czy nie masz, moja Siostro, jakiego niepokoju? odpowiedziała: „Nie mam żadnego niepokoju, żadnego wyrzutu, chyba to tylko, że odczuwałam zbyt wiele przyjemności służąc Ubogim". A gdy ją zapytał: „Jakże to, moja Siostro, czy nie masz w przeszłości nic takiego, coby w tobie budziło obawę?" odrzekła: „Nie, mój Ojcze, to tylko, że miałam zadużo zadowolenia. Gdy szłam odwiedzać Ubogich na wsi, nie chodziłam, ale biegłam jak na skrzydłach, tyle miałam radości mogąc im służyć".

Myślę, że św. Wincenty mógłby powtórzyć te same słowa. Zresztą to on przejął dusze swych Córek tym ideałem. Niechże to będzie i naszym ideałem, moje najmilsze Siostry, w tym życiu, abyśmy mogli przeniknięci być uczuciami św. Wincentego i pierwszych Córek Miłosierdzia w godzinę naszej śmierci: „Szczęśliwy, kto ma baczenie na ubogiego, w dzień zły wybawi go Pan". Amen.

W. M. Slattery, Przełożony generalny.

Niech żyje Jezus!

Zegar wskazuje czwartą lub piątą godzinę... dzwon dzwoni lub nie dzwoni... budzik trzeszczy lub nie... ale mały Aniołek nie śpi. On zawsze jest tam, gdzie ma nadzieję zebrać jaką piękną małą ofiarę, by ją zapisać w swoim notesiku i o właściwej godzinie zanieść do Najwyższego Pana. Taki jest szczęśliwy, gdy może uchwycić pierwszą myśl, pierwszą modlitwę, pierwszą ofiarę, pierwsze wzniesienie duszy do Boga!

Toteż każdego poranku nadstawia ucha, stojąc niewidzialny za firankami naszego łóżka, aby zadrżeć z radości na dźwięk tego wezwania: „Niech żyje Jezus!", które rozpoczyna każdy nasz dzień. Więcej niż czterdzieści tysięcy dni Sióstr Miłosierdzia!... Jakiż to skarb zasług i łask, wysiłków i cierpień cnót i prac!...

To poranne zawołanie „Niech żyje Jezus!" ileż ono zapewnia mocy tej, która wkłada w nie całą duszę o tej pierwszej godzinie dnia, a także tym, które odpowiadają ochotnie i radośnie „na zawsze w sercach naszych"!

Niech żyje Jezus! Jest to wezwanie do życia, do życia, które się dla nas otwiera po tych godzinach snu będącego obrazem śmierci, bowiem w tym czasie przestajemy działać i myśleć, nie przestając jednak kochać Boga. Życie: to Jezus w nas.

Czy myślimy, co znaczy to wezwanie „Niech żyje Jezus!" wtedy, gdy wszystko wokoło nas pogrążone jest w uśpieniu?... Czy drąży ono w naszej duszy oblubienicy Pana Jezusa, to nienasycone pragnienie życia boskiego?... Tak bardzo nam potrzeba rozszerzyć, wzmocnić, powiększyć życie Chrystusowe kosztem naszego! Kiedyż będziemy mogły powiedzieć ze świętym Pawłem: „żyję już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus"?

Jeżeli każde wezwanie do Jego życia jest dla nas każdego dnia, każdej godziny, sposobnością do zaproszenia i nalegania, by się ostatecznie ustalił w naszym sercu, pomnożymy, a raczej On pomnoży stopniowo naszą możność kochania Go

i przychyli się do naszego gorącego pragnienia, by żyć tylko dla Niego, z Nim i w Nim.

A to wezwanie „Niech żyje Jezus!” niebo oczekuje je w milczeniu każdego poranka, oczekuje zawsze w radości... Jest to poryw miłości, który się odbija pod sklepieniem niebieskim, powszechność zaś Zgromadzenia sprawia, że brzmi nieustannie—od Wschodu do Zachodu, powtarzane we wszystkich językach, gdziekolwiek znajduje się jaki dom Córek Miłosierdzia.

One wszystkie mają tak gorące pragnienie czuć, że Chrystus w nich żyje, gdyż wtedy będą pewniejszymi, że noszą Go z sobą i dają duszom, którym oddają się same.

Niech żyje Jezus! jest to przede wszystkim *okrzyk radości,* nawet wtedy, gdy się która czuje nie dość wyspana i ciężko jej opuścić spoczynek. Radość, jaką kosztujemy w tej pierwszej ofierze jest szeroka i czysta. Kto się targuje z Panem Jezusem czuje się bardziej zmęczony swoją odmową i nie odczuwą przyjemności spoczynku. Sumienie wtedy boleśnie niepokoi. Tylko przez zamarcie sobie przyciąga się Życie, Tego, który sam tylko mógł powiedzieć: „Jam jest Żywot” i który je daje obficie.

„Niech żyje Jezus!” jest to okrzyk miłości. Pierwszy w ciągu dnia. Ten, który wyrywa się samorzutnie z duszy jeszcze sennej, jest jakby jej oddechem, rozwinięciem myśli, wylewem jej uczuć, dążeniem całej jej woli. W tym okrzyku przejawia się całkowita nasza przynależność do Chrystusa, którego chcemy zachować za wszelką cenę, walcząc przeciw Jego i naszym nieprzyjaciołom, do Chrystusa, którego miłość chcemy rozszerzać wśród braci naszych.

„Niech żyje Jezus!” jest to okrzyk nadziei. Wołanie na na pomoc, by był przy nas tu, w tym momencie decydującym, kiedy mamy wybierać, czy oprzeć się naturze, czy też uledz jej żądaniom... by był tutaj i dopomógł nam podjąć krzyż złożony dnia poprzedniego... by był tu dla rozpoczęcia z nami ciężkiego dnia pracy i cierpienia... by był tu dla wypełnienia z nami urzędu ponad nasze siły, zadania przechodzą-

cego nasze zdolności, by był z nami dla prowadzenia dobrze dzieł apostolskich, jakie nam są powierzone... On nam jest tak bardzo potrzebny we wszystkich, najmniejszych nawet naszych przedsięwzięciach!

„Niech żyje Jezus!” Jest to także akt wiary. On rozjaśnia świt szarego dnia, który zapowiada się pełen niepewności, trosk, niepokojów i utrapień. Z Jezusem zrozumiemy to, co nam się wydaje nie do pojęcia, potrafimy rozwiązać zawiłe i subtelne zagadnienia. Wszystko jest skąpane w tej boskiej jasności, wszystko rozstrzygnięte cudownie przez tę myśl nadprzyrodzoną: „Bóg wie wszystko, może wszystko i kocha mnie!” A więc z zamkniętymi oczami możemy wstać i iść naprzeciw zdarzeń, z tym mocnym przekonaniem, że on wyjdzie na nasze spotkanie.

„Niech żyje Jezus!” Jest to pełne ufności wołanie do naszego Ojca Niebieskiego, który czeka na to by nam odpowiedzieć miłośnie, do naszego Ukochanego Oblubieńca, który wyciąga râmiona, by wesprzeć naszą słabość. Dusza może z zupełnym bezpieczeństwem zdać się na tkliwość Jego Serca, na potęgę Jego Ducha, na wszechwładzę Jego panowania. Z Nim może iść bezpiecznie. Nie potrzebuje się obawiać wiedząc, że jest tu przy niej, by jej dodawać otuchy do pracy i do ofiary. Im cięższe będzie zadanie, im praca bardziej przygniatająca, tym potężniejszą będzie łaska.

Czyż Córka Miłosierdzia może pozostać obojętną, słysząc to słodkie imię Jezus?... Przed tym imieniem, powiada św. Paweł, „wszelkie kolano klęka w niebie, na ziemi i pod ziemią”. Jakież to przebudzenie dla śpiącej duszy, to wezwanie „Niech żyje Jezus”, stawiające nas, stosownie do zwyczaju, od zarania wobec Tego, który nas wybrał do współpracowania z Nim w Jego winnicy. Któżby się mógł oprzeć Jego wezwaniu, gdy On nas oczekuje dla napełnienia niebiańskich śpichlerzy?

„Niech żyje Jezus!” To Oblubieniec, nasz Boski Oblubieniec zaprasza nas głosem Siostry Służebnej. Chce z nami porozmawiać, zanim wezwie nas do Stołu świętego, by nas posilić Swym Najśw. Ciałem. Toteż jakimże gorącym i wspa-

niałomyślnym sercem pójdziemy dzielić Jego życie pokutne i apostolskie, aby się przyczynić do Jego dzieła odkupienia.

Jeżeli bywają uchybienia co do rannego wstawania, czy przyczyną tego nie jest zaniedbanie tego pobożnego zwyczaju? Jakże dobrze budzi nasze sumienia Córek Miłosierdzia ten słodki dźwięk wezwania „Niech żyje Jezus!" — w pierwszych chwilach dnia, stawiając je w obecności Tego, dla którego winnyśmy żyć i umierać.

Niestety! nie wszędzie słychać dzwon, bo w niektórych domach rzadko się on odzywa. Siostry tłumaczą się tym, że chodzi tu o akt miłości: by nie zakłócać snu sąsiedztwu, które może nieraz przepędziło noc hałaśliwie—zakłócając nam spoczynek... Stosownie do czystości intencji kierującej nami w tej sprawie, Zgromadzenie nie nakłada bezwzględnego obowiązku zastosowania się do życzenia św. Założycieli, którzy przypisywali dzwonowi tak ważną rolę, uważając go jako głos Boga samego.

„Wstawać będą na pierwsze uderzenie dzwonka", mówi Reguła i to jest rozkaz Boży dla każdej z nas.

Jeżeli zaś gdzieniegdzie jest prawdziwa niemożliwość dzwonienia na wstawanie, czyż nie mogłybyśmy przynajmniej z okazji Roku Świętego, wziąść postanowienie, by żyć święciej, rozpoczynając nasz pracowity dzień przez gorliwe wezwanie Chrystusa, naszego życia.

Nie przypuszczam, by nawet mniej gorliwe Siostry, mogły się oprzeć wrażeniu, jakie wywołują te słowa: „Niech żyje Jezus!" rzucone ku niebu o 4-ej czy 5-ej godzinie rano.

Kochany mały Aniołek nie będzie już zmuszony notować smutnych porażek, godnych pożałowania opuszczeń, bo pewnie wszystkim Siostrom będzie leżało na sercu, by kreśląc na sobie znak Krzyża, ten postrach szatanów, dla zaznaczenia naszej dobrej woli, na wezwanie: „Niech żyje Jezus!" odpowiedzieć z zapałem: „Na zawsze w sercach naszych!"

Siostra Maria-Antonina Blanchot.

Z dnia na dzień...

26 lipca. — Nasz Najprzewielebniejszy Ojciec przyszedł od Św. Łazarza wraz z Najczcigodniejszym Ojcem Dyrektorem, by uczcić naszego Błogosławionego Ojca w Domu Macierzystym. Po Sumie udał się do Seminarium, gdzie tak przemówił do Sióstr Seminarzystek:

Oto jestem znowu pomiędzy wami. Zapewne oczekujecie, że w tę Oktawę Św. Wincentego, po pięknej Sumie, która się przed chwilą skończyła, podam wam jaką myśl o św. Wincentym jako wiązankę duchowną na dzień dzisiejszy. Otóż dam wam zalecenie, byście jak on czytały i rozważały Ewangelię.

Św. Wincenty kochał Ewangelię, rozważał ją, przeniknął się nią do tego stopnia, że z niej czerpał wszystkie hasła, wszystkie wytyczne swego życia.

Każdego rana, jak to polecił swym Misjonarzom, tak i sam odczytywał na klęczkach, z odkrytą głową, jeden rozdział Nowego Testamentu. Następnie, jak powiada Abelly, starał się przejąć uczuciami ożywiającymi Pana Jezusa i Świętych w chwili wyrzeczenia tych słów odwiecznej prawdy i natychmiast usiłował wprowadzić je w życie. W czasie Mszy św., gdy napotykał słowa wyrzeczone przez Pana Jezusa, wymawiał je z większym przejęciem, głosem serdeczniejszym i, jak wnioskuje Abelly, „zdawał się wysysać sens tych ustępów Pisma św".

Nie można się zatem dziwić łatwości, z jaką Pismo św. przytaczał. Naliczono w jego pismach około czterech set dosłownych cytat z Ewangelii, a przeszło tysiąc aluzji do życia Pana Jezusa. Czerpie z tej Ewangelii pełnymi rękami przykłady do każdej cnoty, jaką zaleca i do każdej reguły, jaką tłumaczy.

Córki Miłosierdzia naśladują Pana Jezusa, który odwiedzał chorych, aby ich leczyć i mówić im o zbawieniu. O jakimkolwiek przedmiocie św. Wincenty rozprawiał, zawsze powoływał się na przykłady i słowa swego Boskiego Wzoru. Ubodzy byli umiłowanymi od Jezusa Chrystusa; będą także umiłowanymi przez św. Wincentego.

Wasze Reguły polecają wam nauczać ubogich zawsze, gdy nadarzy wam się do tego sposobność. Oto św. Wincenty zapala się wspominając na przykład Pana Jezusa: „W gospodarstwie, mówił do swych Misjonarzy, nie wiem czy się to zachowuje i czy Brat, który się nim zajmuje stara się dowiedzieć, czy nasi pracownicy są dostatecznie pouczeni, czy rozmawia z nimi czasami poszczególnie w tym względzie, naśladując Pana Jezusa, gdy usiadł na kamieniu przy studni i chcąc pouczyć Samarytankę zaczął od tego, że poprosił ją o wodę: „Niewiasto, daj mi się napić", powiedział jej. Tak i wy zapytujcie tego czy owego: „No cóż, jakże tam wasze konie? Jak się miewa to, jak wam idzie tamto? Czy zdrowi się czujecie? I zaczynając od takich rzeczy przejdźcie potem do tego, o co wam chodzi".

Ubodzy pozostaną dla św. Wincentego obrazami Pana Jezusa, który w bolesnej swej Męce „nie miał postaci ludzkiej”. Jeżeli Ubogi jest chory, Chrystus jest nim także, jeżeli jest w więzieniu, jest tam również. „Idziecie do ubogich mieszkań, mówił, ale znajdujecie tam Boga”.

Cała jego duchowa nauka wkorzeniona jest w Ewangelię. Wszystkie wasze zwyczaje, Reguły waszego Zgromadzenia, moje najdroższe Siostry, położone są równolegle, rozważone z Ewangelią w ręce.

„Czy można upominać nie mając do tego urzędu?” zapytuje Siostra: nie, to nie byłoby właściwe i zaraz podaje racje stanowcze i niezbite: „Pan Jezus trzydzieści lat żył na ziemi nie upominając nikogo, a przyszedł specjalnie dla nawiedzenia ludzi. Przez ten czas nie upomniał żadnego, ani Faryzeusza, ani Samarytanina, ani Żyda, a widział, że źle postępowali”.

Gdy chce wykazać słuszność waszej Reguły, która żąda, byście prosiły o pozwolenia, posunie się do powiedzenia, że i Pan Jezus także prosił o pozwolenia Najśw. Pannę i św. Józefa.

Pan Jezus chciał dla naszej miłości wyrzec się dóbr ziemi, my również będziemy Mu w tym podobni. Pan Jezus okazywał dzieciom miłość serdeczną, my także z miłością zbliżymy się do dzieci.

Pan Jezus zalecił swym Apostołom, by nikogo w drodze nie pozdrawiali, my również nie będziemy robiły żadnych zwierzeń osobom obcym.

Praca Córek Miłosierdzia ma za cel uczczenie przykrej i uciążliwej pracy Zbawiciela na ziemi, Który poddał swe Boskie członki najcięższym pracom bez oszczędzania się.

Jeżeli Siostry mają do cierpienia od tych, którzy ich otaczają, Pan Jezus nie inaczej był traktowany. „Niestety! moje Siostry, mówi św. Wincenty, od kogo mielibyśmy cierpieć, jeśli nie od tych, z którymi jesteśmy? Od kogo i przez kogo Pan Jezus cierpiał, jeśli nie od Apostołów, od uczniów i od tego ludu, wśród którego żył, a który był Ludem Bożym”.

Moje najdroższe Siostry, kończę na tych przykładach; łatwoby mi było je mnożyć i ukazywać wam Pana Jezusa poprzez konferencje św. Wincentego. Możnaby tak wykazać, że św. Wincenty zgłębił, przeniknął się Ewangelią. Serce jego drżało z radości za każdą stroną: „Och! Zbawicielu! jakże szczęśliwi byli ci, którzy mieli łaskę zbliżenia się do Ciebie... jakie oblicze, jaka słodycz! Św. Wincenty szczęśliwy był i błogosławiony mogąc codziennie zbliżyć się do Pana Jezusa przez czytanie Nowego Testamentu. Moje najdroższe Siostry, przez całe wasze życie odczytujcie Ewangelię, nasycajcie wasze dusze przykładami i naukami Pana Jezusa. Czytajcie także nauki św. Wincentego a zobaczycie, jak nasz Błogosławiony Ojciec czytał oczami swego umysłu i miłością swego serca te kartki, które urobiły jego świętość. Wasze rozmyślania zyskają przez to na treści. Wasze dnie, wasze czynności przeniknione będą Jezusem Chrystusem i będziecie mogły powiedzieć za św. Wincentym: „Nic mi się nie podoba, tylko w Jezusie Chrystusie”.

15 sierpnia. — Wszystkie serca Sióstr Miłosierdzia zwracają się w stronę Domu Macierzystego i może trochę zazdroszczą uprzywilejowanym, które mogą osobiście przedłożyć Najprzew. Matce swoje życzenia... Gdy zebrały się wszystkie Siostry, najprzód Siostra Seminarzystka przedstawiła swoje życzenia, a potem Siostra kornetowa. Życzenie ujęte było w pięknym, długim wierszu, który zbyt trudno byłoby przetłumaczyć, ale podamy z niego parę myśli. Najprz. Matka niedawno sprawiła do kaplicy nowe oświetlenie, więc Siostry wzięły z tego pobudkę, by powiedzieć, że Najprz. Matka lubi światło i pragnie oświecać swoje córki nie tylko w kaplicy, ale dusze ich oświeca przez artykuły w Echu i swoje Cyrkularze, zachęcając, by wszystkie były mądrymi pannami, mającymi duży zapas oliwy do lamp, gdy przyjdzie czas wyjść na spotkanie Boskiego Oblubieńca. Tę oliwę czerpać powinny z ducha św. Wincentego. Wspomniane są Siostry zmarłe ostatnimi czasy w Domu Macierzystym, S. Ribiollet, której lampa zawsze tak jasno świeciła, inna której płomień rzucał blaski aż na dalekie misje, bo pracowała w urzędzie misji zagranicznych, innej lampka paliła się dziwnie wesoło, bo zawsze była w dobrym humorze mimo 84-ch lat życia, inna zachowała do starości w swej lampce oliwę seminaryjską, ostatnia wreszcie była tak pełna słodyczy, oliwa jej była tak miła, że wartoby poszukać, czy nie została gdzie jaka resztka z jej zapasu. Wszystkie te Siostry miały w swych lampach wyborny gatunek oliwy złożony z czystości intencji, milczenia, pokory, gorliwości w pracy, punktualności w ćwiczeniach i zaparcia się siebie jak tego pragnął św. Wincenty. Życzymy Najprz. Matce, by wszystkie Siostry jaśniały duchem św. Wincentego.

Z tego powinszowania, jak również z uroczystości Wniebowzięcia, Najprz. Ojciec wysnuł taką naukę:

Najprzewielebniejsza Matko,

Najdroższe Siostry,

Liturgia dzisiejsza zaprasza nas do radości. Radujemy się winszując Królowej wszystkich Świętych, że jest w Niebie, radujemy się, że mamy tam kogoś tak potężnego, co interesuje się nami i zna nas, by nam tym więcej czynić dobrego.

W Zgromadzeniu także jest radość we wszystkich sercach, bo to Twoje imieniny Najprzew. Matko. Stoisz na jego czele i wiele masz podobieństwa do Najśw. Panny: jak Ona, pośród wszystkich twych córek pobudzasz je do obowiązku, do świętości (bo Królestwo Niebieskie jest przede wszystkim wewnątrz nas), do apostolstwa, aby przybliżyło się królestwo Jej Syna. Jesteś Matką wszystkich Córek Miłosierdzia na całym świecie. To też odczuwając cały ciężar twych odpowiedzialności nie wiemy jak Cię dosyć zapewnić o naszych modlitwach i naszych ofiarach, by Bóg Ci ulżył i błogosławił prace twoje i byś mogła kiedyś otrzymać koronę w Niebie.

Niebo, gdy o nim myślimy, wszyscy jesteśmy do niego przeznaczeni, jak Najśw. Panna, której ono było naturalnym zakończeniem życia. „Assumpta est Maria in coelum"; przetłumaczę to: „Marya wzięta została do nieba". Wzięta została przez Swego Syna, przez Boga... ale to był ostatni etap, bo już od dawna wzięta została od Boga i całe Jej życie było tylko udoskonaleniem coraz zupełniejszym tego Bożego posiadania. Poczęta była bez grzechu i Trójca Święta odrazu podobać sobie mogła w tej duszy całkowicie czystej. „Pan mnie posiadł", czytamy w jednym tekscie Liturgii, która te słowa stosuje do Najśw. Panny. Wzięta, umieszczona osobno, taką była w sposób widoczniejszy jeszcze przy Nawiedzeniu, a od tej pory wszystkie Jej czyny, wszystkie myśli, wszystkie uczucia, skoncentrowane były na Chrystusie, przedmiocie całej Jej macierzyńskiej miłości. To Jej stanowisko wymagało wielkich ofiar, kosztowało Ją wiele trosk, ale była całkowicie wzięta przez Boga, oddana służbie Bożej, czy to w ciągu ukrytego życia Jej Syna, czy w ciągu Jego życia publicznego, czy na Kalwarii, czy po Zmartwychwstaniu i w pierwszych dniach rodzącego się Kościoła, przy Apostołach. Była zawsze przejęta widokami i zamiarami Boga nad Nią i nad ludzkością. Takie życie zakończyć się mogło tylko w Niebie.

Ale, moje najdroższe Siostry, czy nie ma w tym dla nas nauki? Czyż nasze powołanie nie jestże wynikiem wybrańtwa Bożego? Jeżeli nie miałyśmy widzialnego Zwiastowania, niemniej Bóg wezwał nas do swojej służby, by Mu pozyskiwać dusze i lepiej zbawić swoją. Następnie to wyróżnienie wymagało od nas zupełniejszego oddania całego naszego jestestwa. Doskonałą ofiarę złożyliśmy w dniu naszych Świętych Ślubów; od tej pory naszym marzeniem, naszą dążnością było, by nie było w nas nic takiego, coby nie należało do Niego. Gdybyśmy mieli większe odczucie tego boskiego „Wniebowzięcia", w całej jego .rozciągłości i intensywności, bylibyśmy, jak Najśw. Marya Dziewica, pełni miłości Bożej. Po takim życiu pozostałoby nam tylko umrzeć z miłości, wzdychać do dnia kiedy nastąpi połączenie całkowite, niesłabnące, bezwzględne, wieczne. Och! tak jest, moje najdroższe Siostry, bądźmy duszami całkowicie oddanymi, bo opanowanymi miłością Bożą. Żyjmy tylko dla Niego, z Nim, wedle Niego, tu na ziemi, aby być z Nim złączeni w Niebie z Najśw. Dziewicą Maryą.

*
* *

Do tych dusz całkowicie oddanych Bogu, żyjących tylko dla Niego, z Nim i według Niego należały te dwie dobre pracownice Zgromadzenia: Siostra Buman i Siostra Dawid, odwołane do domu Ojca Niebieskiego w odstępie trzech tygodni jedna po drugiej. Każda z nich miała inne pole pracy, ale serce biło taką samą miłością.

Zapewne szczególne wspomnienia odtworzą nam piękne przykłady cnoty dane przez Wizytatorkę Szwajcarii, Siostrę Buman.

Urodziła się we Fryburgu w 1876 r. a do Zgromadzenia wstąpiła w 1899 r. Pierwsze 25 lat przebyła we Francji, najprzód w Lionie, następnie w Paryżu... Stąd wysłana została do Schroniska Św. Marty na Watykanie, najprzód jako Asystentka, następnie została tam Siostrą Służebną. Przebyła tam lat 20, pracując bez oszczędzania się... Ale Szwajcaria miała ją jeszcze zobaczyć, zbyt krótko, niestety, bo dopiero od roku 1946 objęła tam obowiązki Wizytatorki, a 24 lipca tego roku Bóg Dobry powołał ją do Siebie.

Całe Zgromadzenie łączy się z naszymi Siostrami z Szwajcarii, bardzo strapionymi tą stratą. Prosić też będzie o błogosławieństwo Boże dla Siostry Cretenet, dawnej Oficjałki Zgromadzenia, która naznaczona została na następczynię nieboszczki.

*
* *

Jeżeli o Siostrze Buman można powiedzieć, że była „światłem na świeczniku" to o Siostrze Dawid wyrazić się można, że była „światłem pod korcem". Czterdzieści lat spędziła na cichej pracy w Sekretariacie, zaś poprzednio dziewięć lat pracowała w dziełach u Św. Sulpicjusza i w Zakładzie Eugeniusza-Napoleona.

Była uosobieniem prawości i sumienności: znała tylko obowiązek i wypełniała go całkowicie. Czy to chodziło o sprzątanie dormitarza, o którego porządek i czystość ogromnie dbała, czy o listy, rejestra, archiwa, wszystko spełniała dokładnie i doskonale. I tak czyniła przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku przez czterdzieści lat! bez uchybienia...

Ciało jednakże słabło; miała parę ataków, które bardzo zaniepokoiły otoczenie, ale dzielna pracownica rwie się do roboty i gdy tylko atak mija chwyta za pióro i pisze... bez wytchnienia. Tak było do 29 lipca, kiedy musiała złożyć broń, myśląc jednak, że tylko chwilowo. Ale Pan Bóg inaczej zarządził i o świcie uroczystości Wniebowstąpienia wraz z Maryą zabrał do Nieba tę, której lampka jasno świeciła dla Niego samego!

Z CAŁEGO ŚWIATA.

Z Erytrei.

W cieniu grobowca Błog. Justyna de Jacobis, Siostry nasze nie przestają czynić wiele dobrego, jak o tym świadczy następująca relacja:

Hebo, dn. 6 sierpnia 1950 r.

„Dnia 25 czerwca przypada rocznica Beatyfikacji naszego Błogosławionego. Z tego powodu jest tu wielkie święto: wszyscy katolicy Erytrei biorą w nim udział! Noc spędzają na modlitwie i śpiewach; o świcie jest uroczysta suma, nabożeństwo trwa około trzech godzin... potem jest procesja z Najśw. Sakramentem, a następnie penegiryk. Tego roku, kaznodzieja, żeby lepiej być słyszanym, wszedł na auto, a nam się zdawało, że przeżywamy sceny ewangeliczne, kiedy to Pan Jezus wchodził do łodzi, żeby przemawiać do rzeszy.

Dzieci Maryi wystąpiły na procesji ostentacyjnie, wzbudzając trochę zazdrości w innych dziewczętach z okolicy, które przyszły do nas zapytując, czy one nie mogłyby uczynić tak samo. Miejmy nadzieję, że życzenie ich z czasem będzie mogło być urzeczywistnione, nietylko, aby zajęły miejsce w procesji, lecz by mogły żyć, jak prawdziwe Dzieci Maryi!

Misja ustala się w swoich dziełach wśród trudności, których nie brakuje. Przychodnia jest zawsze otwarta, nietylko dla mieszkańców Hebo, ale dla wszystkich tubylców, którzy się tu zjawiają. Do odwiedzania chorych po mieszkaniach dochodzi odwiedzanie wiosek pogranicznych, ale ponieważ nie istnieją tu żadne drogi, więc by się tam udać, trzeba się posługiwać małym mułem, jest to jedyny i najpewniejszy sposób lokomocji, bo trzeba przebywać ścieżki niekiedy niebezpieczne.

Dzieci Maryi są obiecujące; są uległe otrzymywanym naukom, każdej niedzieli zbierają się dla odmówienia Godzinek, a potem mają krótką naukę religijną i moralną.

Dzieci do szkoły się garną; jednakże wierność w uczęszczaniu do niej pozostawia do życzenia, bo uczniowie i uczennice często zajęci są pracą w polu.

Powoli wznosi się Dom Księży Misjonarzy dla przyjmowania kleryków przygotowujących się do święceń, jak za czasów św. Wincentego..."

Z Addis-Abbeba również mamy dobre wiadomości. Naglą nasze Siostry, by otworzyły tam szkołę, bo nie ma wcale szkoły dla dziewcząt katolickich... Niestety! brakuje na to pracownic.

Z Indochin.

W Saigonie, mimo trudności wszystko pomyślnie się rozwija:

„Do tej pory prowadzimy dzieła normalnie; nasze Przychodnie ciągle się rozwijają. W „Verdun", mamy pod opieką 750 maleńkich dzieci, w Banko 350. Nasze Siostry Viet-Namienskie odwiedzają Ubogich w ich słomianych chatach i w świeckich szpitalach, gdzie udzielają często chrztu w godzinę śmierci, pouczając umierających o głównych prawdach wiary i możliwie jak najlepiej przygotowując dorosłych, którzy się nawracają.

Dopiero co zakończyłyśmy egzamina w Szkole pielęgniarskiej. W pierwszym roku, jedna Siostra Miłosierdzia Viet-Namienska otrzymała pierwsze miejsce. Po wręczeniu ostatecznych dyplomów, urządzono dla wszystkich uczennic hojne przyjęcie.

Obecnie przygotowujemy do rozpoczęcia roku szkolnego. Jeżeli Bóg pozwoli 1 września rozpocznie się nowe posiedzenie Opiekunek Społecznych; potem rok szkolny pielęgniarek szpitalnych. Pan Bóg sam działa w duszach tych dziewcząt, tak blisko nas żyjących; zawsze mamy jedną lub dwie do przygotowania. Największa trudność jest ze strony rodzin, przeważnie zupełnie pogańskich.

Wielką miałam radość, bo od czerwca zgłosiło się sześć aspirantek, wszystkie z bardzo dobrych rodzin... Ufamy Opatrzności, nie starając się przeniknąć ciemnego horyzontu naszego biednego, szalonego świata".

A oto wiadomości z głębi kraju:

„Dom w Dżiring zachowuje swoje piętno misjonarskie, otwarty jest dla wszytkich: dla plantatorów, wojskowych, dla ludności anamickiej, ale zwłaszcza dla Mojów. Jest to lud zupełnie pierwotny, żyjący w lasach, a przychodzi do nas nie po to jeszcze, by poznać prawdziwego Boga, ale żeby się dowiedzieć, co to jest miłosierdzie. Przygotowujemy drogę...

Przyjęłyśmy w domu niewidomą z jej trojgiem dzieci i maleństwo, którego matka umarła. We Francji nie byłoby w tym nic osobliwego, ale tutaj jest to rzecz zadziwiająca, bo dotąd nigdy żaden Moi nie powierzył

swego dziecka! W niektórych plemionach jest zwyczaj, by dziecko, które matka odumrze, było żywcem z matką pochowane. Że nam je rodzina powierzyła, jest to znak wielkiego zaufania. Nie jest to podrzucenie dziecka, bo gdy je odchowamy, to nam je za rok lub za dwa lata odbiorą. Ale to, że mogłyśmy je uratować i odchować, ogromnie podniesie nasz wpływ w okolicy. By odwiedzić to maleństwo, rodzina i przyjaciele muszą cały dzień przedzierać się przez lasy...

W naszym domu znajdują także pomieszczenie tak zwani tutaj „sza", to jest mężczyźni lub niewiasty oskarżeni we wsi, że są opętani, skutkiem czego zwyczajowy trybunał skazuje ich na kilka lat więzienia. Więzienia łatwo nam ich odstępują: odrzuceni przez swoje plemię, czują się u nas zadowoleni i pomagają nam w pracach domowych".

Z Madagaskaru.

Podzielajmy radość Misjonarek, które tam świeżo przybyły i prośmy bardziej jeszcze, by Bóg Dobry wzbudził im... zastępczynie w Europie i towarzyszki dla tej ukochanej Misji!

8 sierpnia 1950 r.

„Proszę Najprzew. Matki, spełniły się moje marzenia: pragnęłam zapadłej placówki misyjnej i mam ją, a Ubogich mam więcej niż jestem w stanie Im pomóc. Do ambulansu przychodzi każdego poranku około stu osób... nie mam więc czasu na stracenie... Siostrzyczka z Seminarium przychodzi mi pomagać na dwie godziny. Ta pomoc bardzo jest dla mnie cenna, bo aby dobrze zastosować lekarstwo, trzeba się wprzód należycie porozumieć, a ja jeszcze nie opanowałam dostatecznie języka. Często nie mogę skończyć do w pół do dwunastej. Muszę dużo stosować lekarstwa na na robaki, a najwięcej mam do czynienia z ranami syfilistycznymi, nawet maleńkie dzieci dotknięte są tą brzydką chorobą, a niektóre w okropny sposób. Stosuje się kuracje dla matek, ale wiele z nich wcale się o to nie troszczy i trzeba wyszukiwać je i przymuszać do kuracji zastrzykami, których się strasznie boją.

Popołudniu idę na wieś, gdzie jest dużo do zrobienia. Trzebaby trzech, a nie jednej! Proszę Pana Boga, aby kierował moje kroki tam, gdzie najpilniej trzeba pomocy, do małych, zaniedbanych dzieci, które umierają bez chrztu, albo do starców oczekujących w jakim kącie chaty wyzdrowlenia lub śmierci. Im chory jest więcej w niebezpieczeństwie, tym więcej ludzi pcha się do chaty, nie zważając, że mogą tym zaszkodzić choremu, lub narazić się na zarażenie, czego oni zupełnie nie uznają!

Zapewne w tych dniach Najprzew. Matka otrzymała ze wszystkich części świata dowody córecznego szacunku, bo w dniu imienin wszystkie serca skierowane są w stronę Domu Macierzystego. I tutaj mała Antosia malgaska przedstawi przed tronem Bożym prośby Najprzew. Matki".

List ten wyraża podane uczucia, jak inny, pisany dwa miesiące wcześniej:

21 czerwca 1950 r.

Najprzew. Matko, czuję się prawdziwie bardzo szczęśliwa i serdecznie dziękuję za wysłanie mnie na Madagaskar.

Od 1-go maja, pod opieką Najśw. Panny, zaczęłam uczyć w szkole małych Malgaszów. Poziom ich nauki jest zupełnie elementarny, jest to zatem dla mnie coś zupełnie nowego, zupełnie nie podobne do nauki, jaką prowadziłam w Paryżu. Przytem język malgaski bardzo komplikuje moje położenie, chociaż przy pomocy gestów lub dzięki tłumaczce dochodzimy do porozumienia z moimi dziewczynkami. Tłumaczką jest jedna z uczennic najstarszego oddziału. Od czasu do czasu przychodzi mi też na ratunek młoda Siostra tubylcza, a codziennie o godzinie czwartej, ja staję się jej uczennicą. Ona sama prowadzi oddział stu pięćdziesięciu dzieci od lat sześciu do dwunastu. Podziwiam z jaką łatwością daje sobie radę z tą całą gromadą, ale jaki to hałas, kiedy na przykład sylabizują dyktando, albo uczą się rachować... Inna Siostrzyczka zajmuje się dziećmi mającymi dwa i trzy lata, a jedna panienka cztero i pięcioletnimi, zaś Siostra Nasza kieruje szwalnią, gdzie 82 starszych dziewcząt, które już ukończyły naukę uczą się zajęć praktycznych. Jedna Siostra malgaska jej w tym pomaga. Jak Najprzew. Matka widzi, mamy tu dużo ludu mniejszego i większego.

Brak robotnic do naszej pięknej misji, która liczy 62 tysiące dusz rozproszonych po sąsiednich wioskach, w promieniu dziesięciu, dwunastu, a nawet piętnastu kilometrów. Nasze Siostry udają się tam czasem jak mogą, albo piechotą, albo jadą łodzią krajowego wyrobu zwaną pirogiem. To tak, jak w Ewangelii. Dziś miałam wielką radość, bo uczyniłam małego chrześcijanina, dałam mu imię Paweł. To mój pierwszy chrzest, ale mam nadzieję, że Pan Bóg pozwoli mi wykonać ich wiele więcej!"

W drodze ku Stanom Zjednoczonym...

Gdy *Echo* przybędzie do domów, Najprzew. Ojciec i Najprzew. Matka będą już w Ameryce, gdzie Siostry nasze będą miały radość, by wraz z Nim obchodzić stuletnią rocznicę przyłączenia Zgromadzenia Matki Seton do wielkiej rodziny Św. Wincentego. Plan ich podróży jest odmienny: Najprzew. Ojciec wyjedzie 4 września, będzie na obchodzie uroczystości stulecia w Emmitsburgu w dniach 27, 28, 29 września, a do Francji wróci dopiero w grudniu, po zwiedzeniu bardzo wielu domów. Najprzew. Matka wyjedzie samolotem 14 września, zatrzyma się w Kanadzie i w najważniejszych domach Sióstr w Stanach Zjednoczonych, następnie uda się do Meksyku, do Ameryki Środkowej, na Antylle i powróci do Domu Macierzystego prawdopodobnie w połowie listopada.

Nasze gorące modlitwy będą im towarzyszyły.

Zjednoczenia międzyzakonne.

Rzut oka historyczny.

Przez długie lata różne Zgromadzenia zakonne, poświęcające się rozmaitym dziełom miłosierdzia, pracowały obok siebie, nie mając innej łączności między sobą, jak stosunek dobrego sąsiedztwa na terenie jednej parafii lub jednego miasta. Rzadko miały sposobność spotykania się, zwykle ograniczało się to, do wspólnie składanych życzeń imieninowych lub noworocznych Ks. Biskupowi lub Ks. Proboszczowi...

Po trochu nastąpiła zmiana. W 1933 roku urządzony został w Lourdes Kongres międzynarodowy pielęgniarek katolickich, do których przyłączyła się setka pielęgniarek zakonnych. Odczuły wtedy, że życie zakonne stawia im kwestie zawodowe na innym planie, niż dla pielęgniarek świeckich i na specjalnie dla nich urządzonym zebraniu, wyraziły życzenie, by urządzone być mogły od czasu do czasu specjalne kursy i wykłady dla zakonnic. Nasza Czcig. Matka Inchelin, która żywiej od innych potrzebę tę odczuwała, porozumiała się z trzema Przełożonymi trzech większych Zgromadzeń zajmujących się pielęgnowaniem chorych i utworzyły początek *Zjednoczenia pielęgniarek zakonnych.* Zyskało ono uznanie i gorące zachęty Zebrania Kardynałów i Arcybiskupów. To zjednoczenie było prawdziwie opatrznościowe w chwili, gdy wobec postępów technicznych, trzeba było pomyśleć o zabezpieczeniu życia zakonnego Sióstr poświęcających się pielęgniarstwu.

W kilka lat później, w 1940 r. dla tych samych względów zorganizowano *Zjednoczenie Zakonnic nauczających*, a w 1947 powstało *Zjednoczenie Zakonnic wychowawczyń parafialnych*, dla połączenia wszystkich tych, które poświęcają się różnym dziełom młodzieży po parafiach.

Chociaż te trzy Zjednoczenia miały każde odrębne pole działania, miały jednak punkty wspólnych zainteresowań.

Na Zebraniu Kardynałów i Arcybiskupów w 1949 r. ustanowiono „Krajową Komisję Zakonnic", złożoną z dziewię-

ciu członków (trzy z każdego Zjednoczenia) zbierającą się pod przewodnictwem ks. Biskupa Courbe, sekretarza generalnego Akcji Katolickiej, za każdym razem gdy trzeba rozpatrzyć jaką kwestię tyczącą wszystkich zakonnic. Jedna Córka Miłosierdzia wchodzi w skład tego „Komitetu dziewięciu".

1) Dawne *Zjednoczenie pielęgniarek zakonnych* objęło obecnie wszelkie dzieła społeczne i obejmuje Zgromadzenia pracujące na następujących placówkach: Szpitale, Ambulansy, Dzieło opieki nad matką i dzieckiem, Schroniska, Domy opieki dla dorosłych, Domy dziecka, Domy poprawcze, Bursy, Odwiedzanie chorych po mieszkaniach i tp.

Zjednoczenie to kierowane jest przez *Stałą Komisję*, składającą się z czternastu członków należących do czternastu Zgromadzeń i zbierających się pod przewodnictwem ks. Biskupa Brot.

2) *Zjednoczenie Zakonnic nauczających* obejmuje obecnie 155 domów zakonnych poświęcających się nauczaniu młodzieży. Obznajmia zakonnice ze wszystkim, co może im dopomóc do spełnienia ich zadania, a to przez posiedzenia i wykłady pedagogiczne, także przez specjalne czasopismo.

3) *Zjednoczenie Zakonnic Wychowawczyń parafialnych* obejmuje 86 Zgromadzeń zakonnych, poucza je przez zebrania, wykłady i doskonale zredagowane pisemko, w kwestiach tyczących zadania zakonnic pracujących na terenie parafii, a więc: zajęcie się dziećmi, kierowanie stowarzyszeniami pobożnymi, urządzanie zebrań rodzicielskich, współpraca z Akcją Katolicką, kolonie wakacyjne itp...

Co myśleć o tych zjednoczeniach zakonnych?

1. One są *faktem dokonanym*. Zapoczątkowane w Paryżu, w obrębie krajowym, a właściwie miejscowym, rozszerzyły się na inne diecezje.

Są bardzo popierane przez Hierarchię kościelną.

Rozszerzyły się nawet zagranicą, gdyż Siostry z różnych Prowincji zapytują Przełożonych Wyższych, jak mają się do tego ruchu ustosunkować.

Oczywiście, Zgromadzenie nie może pozostać na uboczu. Zasadniczo jesteśmy Córkami parafii, a zatem Córkami diecezji i dyrektywy Hierarchii *tyczące dzieł* powinny znajdywać w nas takie usposobienie, jakie ożywiało św. Wincentego. Wiemy, z jakim szacunkiem, z jakim duchem wiary przyjmował najmniejsze życzenia Papieża i Biskupów, troszcząc się jednak o zachowanie właściwego ducha swego maluczkiego Zgromadzenia.

Zresztą nasza Czcig. Matka Inchelin była jedną z pierwszych inicjatorek Zjednoczenia Zakonnic zajmujących się pielęgniarstwem i pracą społeczną. Ona to w Szpitalu św. Józefa założyła Szkołę Pielęgniarstwa otwartą dla wszystkich zakonnic. Troszczyła się o to, by przyjść z pomocą małym Zgromadzeniom, będącym w trudniejszych od nas warunkach.

2. *Co mamy czynić?* — Powiadomić Najprzew. Matkę lub Siostrę Wizytatorkę, jeżeli proszone jesteśmy o wzięcie udziału w takim Zjednoczeniu na terenie naszej diecezji i poprosić o wskazówki, jak mamy postąpić, zwłaszcza, gdyby wysunięte były jakie szczególne kwestie, o których niżej powiemy.

3. *Zjednoczenia te są bardzo na czasie.* — Nic w tym dziwnego, że wobec teraźniejszych przewrotów pojęć i metod dzieł, Zgromadzenia odczuwają potrzebę silniejszego złączenia, by działać jednomyślnie, bronić wspólnych interesów i wspierać się wzajemnie w razie potrzeby. To zbliżenie się różnych Zgromadzeń dokonane w Paryżu na terenie parafii, by odpowiedzieć życzeniu ks. Proboszcza, okazało się bardzo korzystne, pozwoliło zaradzić niektórym poszczególnym potrzebom, usprawniło pracę społeczną i Zgromadzenia wzajemnie oddały sobie cenne usługi, gdy z kursów i wykładów urządzonych w jednym domu mogła korzystać młodzież zostająca pod opieką innych, w tym samym mieście czy parafii, tak samo, co do kolonii wakacyjnych.

Same też zakonnice wiele skorzystały na wspólnie urządzanych przez Zarząd diecezjalny kursach katechetycznych, pedagogicznych itp.

4. *Niebezpieczeństwa, jakich można się obawiać i ostrożności, jakie należy zachować.* — Musimy jednak zaznaczyć, że są tu i szkopuły i trzeba przedsięwziąć pewne ostrożności, jeżeli chcemy zachować prawdziwego ducha Zgromadzenia. Kiedy chodzi o bardzo obszerny teren dzieł, nic się prawie nie ryzykuje. Nie chodzi tu przecież o „nasze dzieła"; dusze, którymi się zajmujemy należą przede wszystkim do pasterza diecezji czy parafii, którzy mają za nie odpowiedzialność. Mają zatem prawo wglądać w metody, jakimi się posługujemy.

Zdarza się jednak, że na zebraniach porusza się kwestie pouczeń duchownych, których duch nie zupełnie nam odpowiada. Jeżeli niektóre Zakonnice bardzo chciwe są takich wskazówek nie znajdując ich dostatecznie w swoim Zgromadzeniu, to inaczej ma się rzecz z nami, Córkami Miłosierdzia, którym „chleb rodzinny" obficie jest podawany. Mamy nasze rekolekcje roczne, miesięczne, rady Przełożonych w cyrkularzach i w Echu. Są to wszystko skarby, z których możemy czerpać i które powinny w zupełności nas zadowolnić. Czego miałybyśmy szukać gdzieindziej, gdy droga uświęcenia tak jasno jest nam nakreślona.

Nie lękajmy się powiedzieć to tym, którzyby się dziwili naszemu uchylaniu się, a w razach wątpliwych zwracajmy się do naszych Czcig. Przełożonych, którzy udzielą nam jak zawsze, wskazówek postępowania, według ducha św. Wincentego. Umiejmy także unikać niepotrzebnego przedłużania naszych stosunków z Zakonnicami. Św. Wincenty zabezpieczył nas przeciw temu rzeczywistemu niebezpieczeństwu. Wstrząśnienia obecne sięgają aż do Zgromadzeń zakonnych, a niektóre z nich, nie zabezpieczone długą tradycją, przyjmują z nieroztropną skwapliwością wszelkie nowości, pod pozorem dostosowania się do teraźniejszych potrzeb i aby się stać „nowoczesne". Siostry nasze, które brały udział w różnych posiedzeniach, mogły przekonać się niejednokrotnie o mądrości zaleceń naszych świętych Założycieli, których świętość oparta jest na zdrowym rozsądku! Zachowajmy nienaruszenie ich ducha tak pełnego roztropności i równowagi.

* * *

Wziąwszy do serca te zastrzeżenia, możemy z życzliwością współdziałać w rozwoju Zjednoczenia zakonnego, jakby to niezawodnie uczynił św. Wincenty. Wszakże one przyczyniają się do chwały Bożej, pomagając Oblubienicom Pana Jezusa lepiej Mu służyć i być dla mas ludzi wyzutych z ducha chrześcijańskiego, chętnie jednak zwracających się jeszcze do dusz Bogu poświęconych, autentycznymi świadkami Chrystusa, którego szukają, nie zdając sobie z tego sprawy.

Z prowincji warszawskiej.

Wspomnienia o ś. p. S. Annie Plety, zmarłej w Górze Kalwarii, dn. 2 czerwca 1950 r. w wieku lat 28, powołania 8.

Droga nasza Siostra Anna urodziła się we Lwowie, ale gdy była jeszcze dzieckiem, rodzice przenieśli się do miasteczka Krasnosielca w woj. Warszawskim i tam uczęszczała do szkoły powszechnej. Po jej ukończeniu, rodzice posłali ją do Lwowa, gdzie chodziła do Gimnazjum Sióstr Sercanek. Tam zaskoczyła ją wojna w 1939 roku. Z trudem, zieloną granicą, przedostała się do rodziców. Gimnazjum dokończyła w Warszawie, a potem Liceum w Zakładzie Sióstr Nazaretanek. Jako córka, była jedynaczką, ale miała dwóch braci. Lubiła sporty, zwłaszcza narty, kajak i łyżwy. Mimo to, nie było w niej nic chłopackiego, jak to bywa często u dziewcząt wychowujących się z samymi tylko braćmi. Przeciwnie, cała jej powierzchowność nacechowana była dziwną słodyczą, zaś w jej zachowaniu, nawet w rysach twarzy przebijała anielska dziewiczość. Miała w sobie coś dziwnie pociągającego, lgnęły do niej nawet zwierzęta, które bardzo lubiła. Ojciec jej był inżynierem leśnym, to też mieszkając w otoczeniu lasów miała różne oswojone zwierzątka, które rozumiała i obserwowała doskonale. Gdy była już w Zgromadzeniu i jako chora leżała w Otwocku, sikorki wchodziły aż do jej pokoiku, a sta-

le przylatywały na balkon, gdzie przygotowywała dla nich poczęstunek. W Chylicach znów wiewiórka dotrzymywała jej towarzystwa. Gdy kończyła nauki w liceum, widocznie bardzo tam kwitła pobożność, bo trzy jej koleżanki wstąpiły do Nazaretanek, a ona również pragnęła poświęcić się Bogu, ale chciała zostać Siostrą Miłosierdzia, prawdopodobnie dla wielkiego pociągu, jaki czuła do pielęgnowania chorych. Zacne Siostry Nazaretanki, chociaż byłyby ją chętnie przyjęły do swego Zgromadzenia, nie chciały się jednak sprzeciwiać wyraźnej woli Bożej i same przyprowadziły ją do Św. Kazimierza, żeby ją przedstawić i zaświadczyć, tak o jej wysokim poziomie moralnym, jak i o tym, że przeszła kurs Liceum, ale świadectwa wydać jej nie mogą, gdyż był to czas okupacji, liceum było tajne i na razie nie miały prawa wydawać świadectw. Był to koniec roku szkolnego. Siostra Anna miała wtedy lat 20. Pełna gorliwości, stawiła się na postulat już 4 lipca. Twarz jej biała i rumiana zdawała się okazem młodości i zdrowia, badanie lekarskie także dobrze wypadło. Jednak już w Seminarium zaczęły się jej robić na szyi gruczoły, jak lekarz orzekł, na tle gruźliczym, więc Siostra Dyrektorka wysłała ją na parę miesięcy do Ignacowa, co bardzo opóźniło jej obłóczyny.

Oto, co z Seminarium opowiada jej towarzyszka: „Byłyśmy razem w urzędzie na dormitarzu. S. Anna była pierwszą w urzędzie. Jasno mi zawsze tłumaczyła, co mam robić i początkowo zawsze jeszcze sprawdzała, czy wszystko zrobione jak należy. Wiernie pamiętała o aktach na godzinę i zdaje mi się, że przez całe swoje życie w Zgromadzeniu nigdy nie zaniedbała tej pięknej praktyki pamięci na obecność Bożą. Bardzo skrupulatnie przestrzegała milczenia i często kładła palec na usta, jak ten Aniołek św. Katarzyny, upominając w ten sposób zbyt rozproszoną towarzyszkę. Wszystko dla niej było ważne, nie było rzeczy, którą możnaby lekceważyć. Tak np. na pierwszy głos dzwonka, przerywała rozpoczętą literę i odkładała pióro, jak św. Stanisław Kostka. Każdą czynność spełniała bardzo dokładnie i szybko, wszystko czyniąc dobrze, ale swobodnie, bez przymusu czy sztucz-

ności. Zawsze odznaczała się delikatnością i subtelnością w obcowaniu z drugimi. Była bardzo taktowna, a dobre jej wychowanie okazywało się zwłaszcza, gdy miała do czynienia z Przełożonymi. Wiele rzeczy nauczyłam się od niej pod tym względem. — Kiedy z powodu zdrowia musiała wyjechać do Ignacowa, lękała się tylko, żeby ją z tego powodu nie wydalono ze Zgromadzenia. Przyznawała później, że to było dla niej straszną męką, gdy musiała iść do lekarza, każde badanie, poza tym, że niemiłe samo w sobie, nadto zdawało się jej wyrokiem, skazującym ją na wydalenie. Jednak opanowywała się mężnie i tylko zblednięcie na wiadomość o nowym badaniu zdradzało, co się działo w jej duszy. Gdy wreszcie, po 17-stu miesiącach Seminarium, nadszedł czas obłóczyn, szczęście jej było niewysłowione. Skoro po otrzymaniu tokwy poszła na dormitarz, z radości odmówiła z towarzyszką Magnificat. Promieniała radością. Jakże nam się upamiętnił dzień obłóczyn. Po obiedzie poszłyśmy do kaplicy odprawić Drogę Krzyżową, pierwszy raz ubrane w św. Suknie... Siostra Plety szła pierwsza, ja za nią. Cisza była wielka, a słońce tak jasno świeciło w kaplicy i w duszy. W ten dzień, z inicjatywy S. Anny, wszystkie pięć nowoobleczone, uklękłyśmy przed Czc. Siostrą Dyrektorką i powiedziałyśmy chóralnie: „Przyrzekamy, że zawsze zostaniemy „Seminarzystkami". Siostra Anna tego dotrzymała, a reszta... pewnie się stara. Potem na pięciu kartkach napisałyśmy 5 Ran Pana Jezusa, aby między sobą wylosować. S. Annie wypadła Rana prawej Ręki... Mówiła później, że jej to bardzo odpowiadało, gdy dostała urząd Poddyrektorki Seminarium".

Jednakże na razie, po obłóczynach posłana została do Szpitala Dzieciątka Jezus, ale nie do chorych, jakby tego była pragnęła, tylko do apteki. Cicha i skupiona, przykładała się, by wszystko jak najlepiej czynić dla Boga, a że była zręczna i dokładna, więc Siostra pierwsza w urzędzie zachwycona była taką pomocnicą, okazywała jej wiele zaufania i zachowała o niej zawsze miłe wspomnienie. Przełożeni jednak chwilowo tylko posłali ją do szpitala ze względu na zdrowie, by była trochę pod opieką lekarską i by miała le-

psze warunki materialne niż były w Domu Centralnym w czasie okupacji. Zasadniczo przeznaczona była do pomocy Siostrze Dyrektorce w Seminarium i Siostra Dyrektorka dopominała się o nią, bo grono Seminarzystek było dość liczne, a także chciała, by S. Anna wciągnęła się do tych zajęć przy Siostrze Zofii Więckowskiej, której Przełożeni zamierzali powierzyć kierownictwo jednego z domów, jako Służebnej. Czasy tymczasem stawały się coraz bardziej niespokojne. Niemcy byli podrażnieni, bo front radziecki szybko się zbliżał. Przewidywano wielką pracę w szpitalach przy rannych. Siostra Służebna pozwoliła Siostrze Annie, by w chwilach, gdy w aptece jest trochę mniej roboty, szła pomagać przy chorych. Nie omieszkała skorzystać z tego pozwolenia, które napełniło ją wielką radością. Oto, co z tego okresu pisze jedna z Sióstr Domu Centralnego, przebywająca chwilowo w szpitalu na kuracji:

„Był to koniec lipca 1944 r., ostatnie dni przed powstaniem. Ogólny niepokój i gorączkowe napięcie potęgowały liczne nocne naloty. Dnia 20 lipca byłam operowana na wyrostek w szpitalu Dziec. Jezus. Siostra Anna pracowała tam wówczas w aptece. Z wielką troskliwością codziennie mnie odwiedzała. Leżałam w pokoiku z jakąś śpiewaczką artystką, która nie mając gości obserwowała ją dowoli i wyrażała potem swoje zachwyty nad jej osobą. Uderzała ją przede wszystkim w S. Annie wielka słodycz, delikatność obejścia i przemyślna troskliwość. Większym jeszcze podziwem przejęta była moja sąsiadka i inne chore z oddziału, na widok S. Anny, kiedy w nocy, w czasie nalotów, ze spokojem i anielską słodyczą oddawała chorym najniższe posługi. Swoim opanowaniem i poświęceniem wyrównywała zdenerwowanie Siostry oddziałowej. Wielu to zastanawiało, że taka młoda, jak się wyrażali, Siostra, bezpośrednio nie związana z chorymi, w chwilach niebezpieczeństwa spieszy im z pomocą. Myślę, że można to trochę wytłumaczyć jej wielkim pragnieniem posługiwania chorym. Jedna z lekarek, starsza jej koleżanka z pensji Sióstr Nazaretanek, podziwiała właśnie, jak dziwnie w życiu S. Anny Pan Bóg zażądał od niej ofiary z najgorętszych pragnień,

odsuwając ją ciągle do innej pracy, a ona tak bardzo kochała chorych i pracę przy nich".

Po powstaniu, z większą częścią Sióstr ze Szpitala Dziec. Jezus, pojechała do Milanówka, a stamtąd, gdy to było możliwe, odesłana została do Pęcher, gdzie znajdowało się Seminarium, przy którym pozostała już na stałe. Podczas swego pobytu w Pęcherach zajmowała się trochę pracą społeczną, mianowicie świetlicą. Mimo swej delikatności, a raczej właśnie dobrocią i słodyczą, nieźle radziła sobie z wiejskimi dziećmi, przyzwyczajonymi raczej do surowszego obejścia. Siostra Starsza byłaby ją tam chętnie zatrzymała i tłumaczyła, że taka praca na wsi jest najwłaściwsza dla jej zdrowia, ale Siostra Dyrektorka uważała, że urząd w Seminarium ważniejszy jest od pęcherskiej świetlicy, a S. Anna koniecznie jest tam potrzebna, zwłaszcza, że S. Zofia została już Służebną w Lublinie. Z całym też Seminarium pojechała do Warszawy w październiku 1945 roku. Na razie warunki były ogromnie trudne. Seminarium ulokowane zostało w niezburzonym, ale mocno uszkodzonym budynku Zakładu dzieci, który trzeba było z wielkim wysiłkiem doprowadzić do używalności, zwłaszcza na zimę. Trzeba więc było dobierać i szklić podwójne okna, umacniać albo dorabiać potrzaskane drzwi, zamurowywać dziury w ścianach, sprawdzać i naprawiać piece i kominy. Z trudem wyszykowano jako tako parter. Żeby dostać się do głównego domu, gdzie była kaplica i refektarz, trzeba było przechodzić przez gruzy, z parasolem o ile padało. Nie było tam wody ani światła. To wszystko bardzo utrudniało zachowanie porządku seminaryjskiego regulaminu. S. Anna jednak niczym się nie zrażała, na nic nie narzekała, do wszystkiego przykładała się ochotnie. Jeżeli było jej coś do zarzucenia, to jedynie, że nie była dość wymagająca dla Seminarzystek, nie umiała surowo upominać, co jednak niektórym duszom, zwłaszcza mniej subtelnym, koniecznym jest do wyrobienia.

Niedługo, niestety! Siostra Dyrektorka cieszyła się swoją pomocnicą, bo z wiosną 1947 r. zaziębiła się, zaczęła gorączkować, kaszleć i lekarz zaraz stwierdził, że w płucach ma nie tylko ognisko gruźlicze, ale nawet kawernę. Posłana do Sana-

natorium w Otwocku, przebyła tam 9 miesięcy, potem tyleż mniejwięcej w Sanatorium w Rudce, założono jej odmę, która jednak wskutek zrostów źle wychodziła i trzeba jej było zaprzestać. Wszystkie wysiłki lekarzy nie przynosiły pożądanego skutku; widocznie dusza jej dojrzała już była do nieba. Ostatecznie umieszczona została na oddziale gruźliczym w Górze Kalwarii, a w międzyczasie przebywała jakiś czas w Chylicach lub w Domu Centralnym, gdzie jej Siostra Dyrektorka urządziła dormitarz w najodleglejszym kącie domu i gdzie miała dużo powietrza i słońca. Ogromnie ją kosztowało za każdym razem opuszczenie Domu Centralnego. Każda też osoba przybywająca do niej od Św. Kazimierza, witana była okrzykami radości. O wszystkim, co się w domu dzieje, zwłaszcza w Seminarium, słuchała chciwie, ożywiona i rozradowana. Interesowała się w dalszym ciągu każdą Seminarzystką poszczególnie. Ale nie interesowały ją „plotki" i niepotrzebne opowiadania. Mawiała do tych, co ją odwiedzały: „Nie puszczę Siostry, dopóki nie powie mi coś budującego". I rzeczywiście, kiedy udało się powiedzieć coś, co można było nazwać „dobrą myślą", mówiła: „Teraz może już Siostra iść".

Siostra Anna bardzo była uważająca, aby nikogo nie zarazić. Choć analiza wykazała, że mało prątkowała, a przez długie okresy nie prątkowała wcale, gdy jednak przyjeżdżała do Św. Kazimierza, starała się nie zajmować miejsca przy Seminarzystkach, chociaż takby jej to było miłym. Trzymała się na uboczu i nawet na rekreację przychodziła tylko, gdy była wezwana, choć serce ją ciągnęło, bo żywo odczuwała, jak: „miło jest braci mieszkać społem". Kochała Seminarium, lubiła w nim przebywać, ale umiała robić z tego ofiarę z uśmiechem i pogodą na twarzy. Tylko gdy była sama płakała czasem, zwłaszcza, gdy miała wyjeżdżać z Domu Centralnego. W ostatnich chwilach, miała tyle przytomności, że kiedy przyszedł atak kaszlu, a był ktoś przy niej, odwracała się z wysiłkiem do ściany i zakrywała usta, by się prątki nie rozchodziły i nie zaraziły otoczenia.

Wielkie miała nabożeństwo do Najśw. Serca Jezusowego, świadczy o tym jej gorliwość w odmawianiu aktów na godzinę.

Bardzo też sobie ceniła konferencje piątkowe i ubolewała, że nie miała w nich udziału tam, gdzie przebywała na kuracji. Z nabożeństwem do Najśw. Serca łączyła się miłość dla Eucharystii. Bardzo ją bolało, gdy leżąc jakiś czas w Szpitalu nie mogła przyjmować codziennie Komunii św. Mszę św. tak bardzo ceniła, że w ostatnich tygodniach życia, korzystając z możliwych do tego warunków, mimo wysokiej gorączki, resztkami sił chodziła na Mszę św., a nie mogąc się utrzymać, nawet siedzący, kładła się na leżaku w miejscu, skąd można było we Mszy św. uczestniczyć. Wielkie miała zmartwienie, gdy już nie była w stanie tam się zawlec. Ze wzruszeniem wspominała, jak to w Pęcherach spełniała przez pewien czas urząd zakrystianki, ile to jej sprawiało pociechy, że wszystkie trudności i przykrości, jakie mieć mogła, topniały jak wosk i znikały wobec tego przebywania w obecności Pana Jezusa. Pan Jezus wynagrodził jej tę miłość w godzinę śmierci. Umarła w pierwszy piątek miesiąca poświęconego czci Jego Najśw. Serca. W samym początku choroby, która tak nieubłaganie zniszczyła jej organizm, miała piękny sen, opowiedziała go jednej z towarzyszek. Śnił się jej Pan Jezus bardzo piękny i jaśniejący, stał w tym miejscu, gdzie jest posąg św. Wincentego, przed domem Św. Kazimierza. Pokazywał jej Swoje Serce, jakby zapraszając, aby doń weszła, a drugą ręką nakreślił w jej stronę, w powietrzu 3 krzyżyki. Gdy się obudziła pomyślała sobie, że pewnie będzie 3 lata chorowała, a potem Pan Jezus weźmie ją do Siebie. Tak się też stało. W wilię śmierci przypomniała sobie ten sen i powiedziała: „To już 3 lata, mógłby Pan Jezus kazać, bym do Niego już poszła...”

Była stale pogodna, nieraz nawet żartowała. Kiedy w Górze Kalwarii miała dużą gorączkę, na zapytanie, jak się czuje, odpowiadała: „Do góry” i wskazywała na niebo. Gorączka szła do góry, była w Górze, a więc szła do góry, do nieba... Pełna miłości, zawsze pamiętała o drugich, zwłaszcza o swoich chorych towarzyszkach i kiedy ktoś ją odwiedzał często przypominała, by odwiedzić jeszcze tę lub ową Siostrę. Miała dla nich uczucia siostrzane, albo nawet więcej niż siostrzane. Gdy jedna z nich bardzo cierpiała przed śmiercią, dusiła się i na-

wet zaczęła się cokolwiek użalać, S. Anna uklękła przy niej i zaczęła ją pocieszać nazywając „królewną”, „bo przecież jest oblubienicą naszego Króla, Jezusa Chrystusa”. Tak samo starała się pocieszać, jak mogła świeckie osoby umierające na salach w Otwocku i w Górze Kalwarii. Gdzie mogła, rozdawała medaliki, dobre słowa, czasem jaką książeczkę, zawsze mając na względzie kierowanie dusz ku Panu Bogu. Toteż wszędzie, gdzie była, pozostawiła po sobie najlepsze wspomnienie i zawsze żałowano gdy odjeżdżała. Chociaż te 3 ostatnie lata nie była w urzędzie, ale swoją misję Siostry Miłosierdzia spełniła jak najlepiej. Sama nigdy nie pozostawała bezczynna. Do końca przepisywała nuty dla śpiewaczek Św. Kazimierza, a tak starannie, że znać, że to było czynione dla Boga. Dopiero wysoka gorączka wytrąciła jej pióro z ręki. Jednakże te drobne prace, do których przykładała się w ciągu choroby, nie wystarczały jej gorliwości i najcięższym krzyżem była jej myśl, że nie może pracować jak inne, zdrowe Siostry i sprawia kłopot swoją osobą. Starała się zawsze sama siebie obsłużyć, aby choć przez to umniejszyć innym trudu. Starała się być umartwioną w jedzeniu, ale na to musiała zdobywać się nieraz na heroiczne wysiłki, bo jak przeważnie wszyscy gruźlicy, miała gust grymaśny, nie lubiła jajek, śmietanki i wielu innych rzeczy, które w chorobie musiała jeść jako lekarstwo. Zmiana pożywienia, urozmaicenie w nim, dodawało jej trochę apetytu, ale trudną to było rzeczą, bo z powodu niedomagań żołądka różnych potraw jadać nie mogła. Pewnego razu względnie chętnie zjadła porcję płatków owsianych na mleku i żeby zrobić Siostrom przyjemność, powiedziała, że to bardzo smaczne. Siostry ucieszyły się, że jej coś smakuje i odtąd codziennie przynosiły jej taką porcję, aż jej tak obrzydła, że tylko z największym wstrętem do niej się zabierała, usiłując jednak nie okazać tego na zewnątrz.

Choroba jej była prawdziwą zagadką, bo nikt w jej rodzinie nie chorował na gruźlicę, a ona jako dziecko, chowała się dość zdrowo. Lekarze dziwili się jej wielkiej podatności do tej choroby. Trzeba było wielkich i długotrwałych wysiłków, aby zyskać małe polepszenie, a potem jeden tydzień

wystarczył na otworzenie się nowej kawerny. Z początku rwała się do pracy i dlatego radaby była wyzdrowieć, ale później nie pragnęła już wyzdrowienia, a raczej wzdychała do nieba. Na wspomnienie nieba, twarz jej rozjaśniała się uśmiechem, kiedy zaś mówiono o ziemi, machała tylko ręką mówiąc, że tutaj nic nie jest warte. W Górze Kalwarii leżała w pokoiku z Siostrą Niepokalanką, podobnie chorą. Pewnego dnia patrząc na swoje lekko zsiniałe ręce ucieszyła się, że to już niedługo, a większą jeszcze okazała radość, gdy lekarz stwierdził, że jedno płuco całkiem się już rozpadło. Siostra Niepokalanka łzami tylko odpowiadała na to. Pokochała Siostrę Annę przez te parę tygodni wspólnego pobytu i żal jej było... Później, pisząc do swej Przełożonej, opisała jej ostatnie chwile S. Anny i wyraziła się, że jak jest w Zakonie lat 30, nigdy jeszcze nie widziała tak anielskiego usposobienia u Sióstr umierających. To samo wrażenie anielskiego usposobienia odniósł jej ojciec, kiedy był u niej po raz ostatni. „Żal mi Haneczki, mówił przez łzy, ale ona jest w takim niebiańskim, anielskim usposobieniu, że chyba cieszyć się trzeba, że idzie do wiecznego szczęścia..." Ten odblask nieba malował się w jej oczach pełnych światła i w całej jej postaci. Zdawało się, że nie umiera, tylko wybiera się w podróż na jakieś wielkie wesele. Tak się złożyło, że w tym właśnie czasie brat jej się żenił. Choć pilno jej było do nieba, prosiła Boga, by nie umarła przed ślubem brata, by nie robić w domu żałoby, a małżeństwa tego pragnęła, bo narzeczona była religijna, więc spodziewała się, że będzie miała dobry wpływ na mało praktykującego brata, co było wielką troską tak S. Anny, jak i jej zacnych rodziców. Ślub się odbył, a w tydzień potem, młoda para przyjechała na pogrzeb.

Gdy było już rzeczą oczywistą, że dni, a może i godziny są policzone Siostra Dyrektorka przyjechała do Góry Kalwarii, pragnąc być przy niej w ostatnich chwilach. Pozostała przy niej dwa dni, ale choroba zdawała się przeciągać. Przy jej łóżku stały niezapominajki. Z uśmiechem mówiła, że każda Siostra daje jej jakieś polecenie do załatwienia na tamtym

świecie, żeby zaś tej wielkiej liczby spraw nie zapomniała, postawiły jej — niezapominajki. Mówiła to na jakie 10 godzin przed śmiercią, ale nie wyglądała, że tak prędko umrze, więc Siostra Dyrektorka odjechała, dla załatwienia niektórych spraw w domu, ale gdy nazajutrz rano była z powrotem, nie zastała już S. Anny przy życiu. Pan Jezus chciał jej, jak naszej św. Matce, odjąć przy śmierci obecność tej osoby, która mogła jej być największą pociechą, którą najwięcej kochała, ale za to sam przygarnął ją do Swego Serca na wieczną radość i szczęście, które nie potrzebuje już ludzi... Siostry z Góry Kalwarii tym serdeczniejszą otoczyły ją opieką. Zapytały ją jeszcze, co jest najważniejsze w życiu, czego trzeba się trzymać, teraz najlepiej może to powiedzieć, będąc u kresu. Cichutko, po namyśle, wyszeptała: „Wola Boża...” Tak jest, dla niej Wola Boża była osią życia, której się zawsze trzymała. Po jakimś czasie powiedziała: „Ja jutro już żyć nie będę”. Zebrały się więc smutne wokoło, stają bezradne patrząc na nią. A S. Anna przytomna, zapytuje: „Dlaczego Siostry tak stoją, niech się Siostry modlą”. Poprosiła, by przygotować gromnicę i zapałki. Siostry zapytały, co mają mówić. Poprosiła, by odmówiły litanię do Serca Pana Jezusa i Koronkę. Kiedy kończyły, kazała sobie podać gromnicę i „nie żałować wody święconej”. A potem trzy razy powiedziała: „Jezu, dziękuję Ci za wszystko...” i z uśmiechem na twarzy, cicho, bez lęku i trwogi oddała swą piękną duszę w ręce swego Oblubieńca.